

„**Niemieckość**” – idee i stereotypy (nie tylko wg Tomasa Manna).

Od pewnego czasu interesuje mnie zagadnienie związane z historią kilku ostatnich stuleci, które odcisnęły się dramatycznie, a nawet tragicznie na historii naszego kraju, mianowicie kwestią udziału w tej historii naszego zachodniego, ekspansywnego sąsiada, a także jego odpowiedzialności za wynik działań, jakie w tych kilku stuleciach wobec Polski podejmował.

Historycy i publicyści wiele piszą o takich wątkach w historii Niemiec, jak przynależność do kręgu cywilizacyjnego innego niż większości krajów Europy (bizantyjskość), rewolucja protestancka oraz niemiecka filozofia idealistyczna, która chyba te 2 poprzednie filary cywilizacyjne chciała uporządkować poprzez nadanie im legitymizacji filozoficznej i usprawiedliwienie szczególnej roli wśród ludów. Z tego razem wyszła zgoda na absolutyzm, totalitaryzm w zarządzaniu ludem, słowem pochwała przemocy w „słusznym” celu. Do kręgu cywilizacji bizantyjskiej zaliczył Niemcy prof. Feliks Koneczny, co jest kontestowane przez wielu historyków, mimo obserwacji zachowania się tego państwa w przebiegu historii, a te obserwacje to potwierdzają. Sam fakt, który Pan Profesor miał na myśli, czyli kierunek, z którego nastąpiła chrystianizacja Niemiec (Bizancjum) nie jest taki łatwy do przytoczenia, gdyż w wiekach „wczesno-średnich” centrum cywilizacji łacińskiej migrowało, a wraz z nim dynamicznie zmieniały się kanony podejścia do tworzenia cywilizacji w oparciu o rozumienie religii. Mimo zapoznania się niegdyś z historią, która opisywała przebieg włączania się Niemiec w krąg chrześcijaństwa, nie jestem w stanie tego w zwięzły sposób powtórzyć, gdyż wymagałoby to napisania osobnej rozprawki,

a i to mogłoby się spotkać z większą ilością niezrozumienia niż akceptacji.

Kiedy Tomasz Mann wydawał swoje największe powieści: „Czarodziejska Góra” w okresie Wielkiej Wojny i „Doktora Faustusa” pod koniec II wojny, spodziewano się, że dokona w nich, szczególnie drugiej powieści, rozliczenia Niemców za ich niebywałą butę, z jaką niemal cały ten kulturalny, mogący się szczycić osiągnięciami naukowymi, artystycznymi i cywilizacyjnymi naród, włączył się w zniewalanie innych ludów. Mann poświęcił w „Doktorze Faustusie” wiele stron aby się na te tematy wypowiedzieć, jednak dla wielu publicystów, jego krytyka, chociaż trafna, nie spełniała takich radykalnych kryteriów rozliczania, jakich oczekiwano.

Moim zdaniem, po przeczytaniu obu tych książek, myśli autora oceniające i rozliczające jego naród, były niezwykle precyzyjne, wnikliwe i realistycznie oddawały ducha epoki i miejsca. Nie można im jednak przypisać chęci samobiczowania, czy biczowania rodaków, co było prawdopodobnie oczekiwane przez krytykę. Zauważyłem w treści książek wielką dumę z bycia członkiem wielkiego narodu niemieckiego i pewien rodzaj jakby usprawiedliwienia tej dumy. Szczególnie bije to z opisów profesora Serenusa Zeitbloom’a, narratora „Faustusa”, który mimo grozy tego co się rozgrywało na frontach, a także poza nimi, do jakiegoś czasu, kiedy wojna zdawała się toczyć pod dyktando Niemiec, odczuwał satysfakcję, kiedy odnosiły one zwycięstwa.

Pozwolę sobie na przytoczenie kilku fragmentów „Doktora Faustusa”, które wybrałem jako najlepiej, wg mnie, oddające istotę tej, z jednej strony, chęci włączenia się w proces przemian świata z młodzieńczym entuzjazmem, a z drugiej, bierną akceptacją dla rezygnacji z wolności i praw istoty ludzkiej. Pierwszy fragment opisuje dyskusję na temat wolności,

rewolucji i absolutyzmu podczas spotkania środowiska intelektualistów niemieckich jeszcze przed II wojną i mówi o tym, jak łatwo wspomniani intelektualiści przyjęli pozornie racjonalnie słuszne, lecz w istocie pokrętnie tezy o „konieczności dziejowej”.

„Cytowano Alexis de Tocqueville, który powiedział, że z rewolucji, niczym ze wspólnego źródła, wytrysnęły dwa prądy: jeden przynoszący ludziom wolności obywatelskie, drugi władzę absolutną. W te „wolności obywatelskie” nikt z owych dyskutantów u Kridwissa już nie wierzył, tym bardziej, że wolność wewnątrznie sama sobie przeczy, ponieważ, chcąc się utrzymać, zmuszana jest do ograniczania wolności, mianowicie wolności swojego przeciwnika, a tym samym znosi sama siebie. Taki jej los, jeśli już od samego początku wolnościowy patos praw człowieka nie został wyrzucony za burtę, do czego nasza epoka znacznie większą wykazuje skłonność niż do wdawania się najpierw w dialektyczny proces, który wolność przekształca w dyktaturę partii wolnościowej. Ku dyktaturze, ku przemocy, wszystko i tak zresztą zmierzało, gdy wraz ze zburzeniem tradycyjnych form społecznych i państwowych przez Rewolucję Francuską rozpoczęła się era, która świadomie czy nieświadomie, przyznając się do tego czy też nie przyznając, zdążyła do despotycznej, przymusowo narzuconej władzy nad zniwelowanymi, zatomizowanymi, pozbawionymi wszelkiej więzi masami, bezbronniymi na równi z jednostką.”

W dalszym ciągu powieści czytamy jak odbywała się akceptacja ograniczenia wolności, a więc w istocie przymusu, który w następnym kroku będzie usprawiedliwiał przemoc, bez zwracania uwagi na to, co ludziom myślącym samo rzuca się w oczy, że taka akceptacja zaowocuje w pewnym czasie totalitaryzmem, zbrodnią, eksterminacją ludzi, obojętnie według jakich kryteriów.

„Badania naukowe podlegały jednakowoż pewnym założeniom – i to jak jeszcze. Były nimi przemoc, autorytet społeczny, i to w tak niewątpliwy sposób, że nauce ani przez myśl przeszło, że nie jest wolna. Subiektywnie była wolna na wskroś – w obrębie obiektywnego uwarun-

kowania, co było tak organiczne i naturalne, że w żaden sposób nie mogło zostać uznane za skrupowanie. Aby wyraźnie uzmysłowić sobie, co nadchodzi i pozbyć się niemądrego przed tym lęku, wystarczało sobie jedynie przypomnieć, że bezwzględność pewnych określonych założeń i uświęconych warunków nigdy nie stanowiła przeszkody dla fantazji i indywidualnej odwagi myśli (podkreślenie moje). Przeciwnie, właśnie dlatego że uniformizm i duchowe ograniczenia zostały narzucone przez Kościół jako coś absolutnie oczywistego człowiekowi średniowiecza, żył on w znacznie większej mierze w świecie fantazji niż obywatel epoki indywidualizmu, ponieważ znacznie swobodniej i bardziej beztrudnie mógł w pojedynczych wypadkach polegać na swej wyobraźni.”

Jak możemy tu się dowiedzieć, lęk przed bezwzględnością w przyjmowaniu śmiałych koncepcji byłby niemądry, a dodatkowym argumentem jest przypomnienie roli Kościoła, który narzucał ludziom średniowiecza uniformizm myślenia.

W końcowych rozdziałach powieści, pokazujących już czas końca wojny, możemy jednak znaleźć próbę oceny tego czasu i tych teorii, idei, które doprowadziły tak kulturalny naród do zatracenia się w pochwalę przemocy. Wspominany jest Luter, mówiący o „krwawym tworze państwowym”, który „na własną głowę przyjął ciężar zbrodni”. Znając trochę myśli Lutera, przypuszczam jednak, że o zbrodnię oskarżał on raczej wówczas panujący ustrój kościelno-monarchiczny (początek XVI wieku), aniżeli zawieruchę, jaką sam rozpętał wskutek uruchomienia destrukcyjnych procesów w Europie, w efekcie ogłoszenia swoich tez. Wiadomo jednak nie od dzisiaj, że spadkobiercy Lutera nie znają dość dobrze jego myśli, o czym tak wyraziście mówi ks. Prof. Tadeusz Guz. Skala przemocy i zbrodni, jakie wystąpiły na skutek rewolucji protestanckiej, w imię zbrojnego celu przemiany porządku światowego, przyćmiewa rzekomy totalitaryzm średniowiecza.

„Przekleństwo, przekleństwo niszczycielom, co wprowadzili do szkoły zła ten pierwotnie poczciwy, rzetelny, nazbyt jedynie pojętny, nazbyt chciwie karmiący się teoriami gatunek ludzki. Jakąż ulgę przynosi przekleństwo, jakąż

ulgę przyniosłoby ono, gdyby wyrwało się z wolnej i nieskrępowanej piersi! Miłość ojczyzny wszakże, która z otwartym czołem utrzymywałaby, że ów krwawy twór państwowy, którego dyszącej agonii jesteśmy świadkami, który według wyrażenia Lutra „na własną głowę” wziął ciężar niezmiernych zbrodni, przy którego wrzaskliwej proklamacji, przy którego wniwecz prawa ludzkie obracających enuncjacjach tłumy porywał wir nadludzkiej szczęśliwości i pod którego krzykliwymi sztandarami maszerowała nasza młodzież z błyszczącym wzrokiem, w dumnym uniesieniu i z płomienną wiarą, - że twór ten jest naturze naszego Narodu absolutnie obcy, narzucony i nie znalazłby w niej dla siebie gleby, - taka miłość ojczyzny wydałaby mi się bardziej wielkoduszna niż prawdziwie rzetelna. W słowach swoich i czynach czyż nie była owa władza jedynie zniekształconą, piętnem motłochu naznaczoną i zohydzoną realizacją pewnej intelektualnej i światopoglądowej tendencji, której przyznać należy autentyczny charakter, chrześcijanin i humanista czyż nie rozpozna z przerażeniem jej śladów w rysach największych naszych i najpotężniejszych postaci, ucieleśniających ideę niemieckości? Pytam – i czyż pytam zbyt wiele? Ach, bo to już chyba coś więcej niż pytanie, czy ten pobity naród dlatego właśnie z błędnym wzrokiem stanął wobec nicości, że ostatni jego i najskrajniejszy wysiłek znalezienia dla siebie własnego politycznego kształtu załamał się w tak straszliwej klęsce.”

Szczególnie przywołanie wysiłku tego narodu dla „znalezienia dla siebie własnego politycznego kształtu” nasuwa nam skojarzenia z polityką tzw. „Lebensraum”, obwieszczaną tak doniośle przez polityków i przywódców niegdysiejszej NSDAP, która tak straszne ludobójstwo sprowadziła na narody Europy.

Dalej Mann rozważa możliwości opublikowania „Doktora Faustusa”, czego, jak się spodziewał, nigdy nie mógłby zrobić w czasie trwania władzy nazistowskiej, a teraz, po jej klęsce, wątpi w powrót swojej ojczyzny do jakiegokolwiek możliwości pracy w sferze kultury, choćby wydania książki.

„Dzisiaj wszakże, kiedy ów niesamowity twór państwowy, który mackami swoimi dławiał cały

ten kontynent i nie tylko ten kontynent, przestał już święcić swe orgie, jego matadorzy zaś każą się truć przez własnych lekarzy, a potem polewać gazoliną i palić, tak aby nic z nich nie pozostało, - dzisiaj wszakże, powiadam, należałoby pomyśleć o opublikowaniu tego służebnego dzieła. Niemcy jednak, według woli tych nędzników, są tak straszliwie, aż do gruntu zniszczone, że trudno uwierzyć, aby niebawem miały się okazać zdolne do jakiegokolwiek kulturalnej działalności, choćby do wydania książki...”

Z kronik filmowych pamiętam historyczne nagrania, jak to naziści palili książki autorów nieprawomyślnych wobec ich reżimu; były tam książki m.in. Marksa (którego jakoś mimo pokrewieństwa idei nie lubili), a także Remarque’a, Hessego i właśnie Manna.

Zakończenie kryje jednak, jak to u Manna, jakiś cień nadziei. Po osiągnięciu dna, ten kraj wygląda cudu, który pozwoli wielkiemu przedtem narodowi podnieść się moralnie. Czy jednak na długo?

„Niemcy, z hektycznymi wypiekami na policzkach, znaleźli się wówczas odurzeni na szczycie swych najdzikszych triumfów, zamierzając podbić świat całą mocą jedyne układu, którego zamierzały dotrzymać, a który podpisały własną krwią. Dziś, w uścisku demonów, jedno oko zakrywając ręką, drugim wpatrując się w grozę, z jednej rozpaczcy w drugą się pograżają. Kiedyż osiągną dno czeluści? Kiedyż w ostatecznej rozpaczcy cud, który ponad wiarę wyrasta, zapali światło nadziei? Samotny człowiek składa ręce i mówi: „Bóg niechaj się zlituje nad naszą biedną duszą, mój przyjacielu, moja ojczyzno”.

Nie o Niemczech, lecz o Związku Radzieckim pisał Janusz Szpotański w swoim poemacie „Caryca i Zwierciadło” lecz jakoś pasuje mi ten tekst również do zafascynowanego totalitaryzmem narodu, który wprawdzie nie miał cara i „samodzierzawia” ale jego ludność łatwo ulegała ideologiom różnych błędnych filozofów, mających ją snami o potędze i pozwalającą państwu, dbającemu o bezwzględność ich realizację, na wzięcie całego narodu pod but. Końcowe zwrotki poematu brzmiały następująco:

*„Bo nie rozumie prosty lud
nigdy potężnej duszy władcy.
Dlatego musi świszczyć knut
i muszą dręczyć go oprawcy.
Gdy car prorocze ma widzenia,
zawsze je sptyci cham i tyk,
dlatego muszą być więzienia,
zsyłka i łagier, kat i stryk.
Dla ludu — eto wsio rawno,
czy car, czy chan jest jego katem,
bo lud to swołocz i gawno.
Batem go, batem! Batem! Batem!”*

Zakończenie.

Z tego felietonu ktoś mógłby odnieść wrażenie jakoby biła od niego niechęć do narodu niemieckiego. Nie jest to prawdą, osobiście miałem kontakty z wieloma Niemcami i niemal wszystkich oceniam jako odpowiadających znanemu stereotypowi przedstawiciela tego kraju, tzn. człowieka jowialnego, spokojnego, konkretnego, spokojnego chociaż nieco hałaśliwego, nieskłonny do zwady... No, generalnie są oni sympatyczni. Należy wszak rozróżnić, co obejmujemy oceną; czy myślimy o typowym Niemcu, czy o przedstawicielu warstwy rządzącej 😊. W wypadku przywódców obserwujemy, o ile jesteśmy w stanie to zauważyć, cechy zupełnie inne: skłonność do wyzysku innych ludzi, nieetyczne postępowanie przy sporej umiejętności znalezienia pozornego uzasadnienia jego przyczyn. Jeśli napotkamy na jakieś publikacje tematyczne lub poznamy trochę lepiej ich kulturę masową, dowiemy się co oni myślą o samych sobie, że funkcjonuje u nich takie pojęcie „Böse Deutsche” – źli Niemcy, którego używają oni na wpół żartobliwie. W ten sposób określają się oni mając w pamięci okresowo wywoływane wojny, napaści na sąsiadów,

wynikające z odczuwania pewnej wyższości nad innymi narodami, wyższości własnej kultury i cywilizacji. Wygląda na to, że są tego zupełnie świadomi.

Warto też przypomnieć co myśleli przywódcy Niemiec o Polsce, a co możemy określić mianem „doktryny międzynarodowej”. XIX-wieczny kanclerz Otto von Bismarck powiedział: „Bijcie Polaków, ażeby aż o życiu zwątpili. Mam wielką litość dla ich położenia, ale jeżeli chcemy istnieć, to nie pozostaje nam nic innego, jak ich wytepić”. Skąd taka nienawiść? Niekoniecznie trzeba to określić tym mianem. Żelazny Kanclerz bardzo obawiał się Polaków, jako potencjalnych konkurentów w tym regionie Europy. Wprawdzie przypisywane mu powiedzenie „Dajcie Polakom rządzić, a stworzą najpotężniejsze imperium świata” nie zostało potwierdzone w dokumentach archiwalnych, jednak wg Prof. Grzegorza Kucharczyka, nie jest wykluczone, że mógł je wypowiedzieć. Pan Profesor w swojej publikacji pisał:

„Jednak ogólny sens słów jest prawdopodobny. Pruskie elity polityczne – na przekór obiegowej opinii o polskim bałaganiarstwie – drżały na myśl, że Polacy mogą stworzyć zorganizowane państwo, w którym widzieli ogromne niebezpieczeństwo dla Prus. Na takie wypowiedzi natrafimy między innymi w korespondencji Bismarcka, który był przekonany, że uzyskanie nawet skrawka autonomii przez Polaków, może się skończyć tragicznie dla Prus. Takie sugestie były także przedmiotem rozmowy z członkami jego rodziny”.

W ten sposób rozpoczynając od Tomasza Manna prześliznęliśmy się także przez kilku innych myślicieli 😊

(Sławek WGO)

Najbliższe spotkania otwarte Watahy Głosu Obywatelskiego:

W każdy piątek g.18:00

Radom

W lokalu JAMA ul. Rwańska 19